

otwarty **ikm**

Siedlce

Autor: Agata Olszewska

Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz

Projekt graficzny: Tomasz Pawluczuk

Koordynator programu „Otwarty IKM”: Katarzyna Buczek

Ilustracje z archiwów prywatnych:

- Michała Schulza – mapa na stronie 1 i 32 (okładka), zdjęcia na stronach 18, 31
- Janusza Kubika – zdjęcia na stronach 4, 23–26
- Magdy Dębnej – zdjęcia na stronach 5, 20, 28
- Tamary Jakubowskiej – zdjęcia na stronach 6–9
- Szczęsnego Stolarka – zdjęcia na stronach 10–14, 19, 21, 22



**instytut
kultury
miejskiej**

Wydawca:

Instytut Kultury Miejskiej

ul. Długi Targ 39/40

80-830 Gdańsk

www.ikm.gda.pl

www.otwarty.ikm.gda.pl

Gdańsk 2019

ISBN: 978-83-66003-55-2

otwartyikm

„Otwarty IKM” to projekt wyjątkowy. Jego sercem jesteście Wy, mieszkańcy. To Wy – nie urzędnicy, animatorzy ani specjaliści z zewnątrz – odpowiadacie za podejmowane w jego ramach inicjatywy kulturalne, społeczne i edukacyjne.

Tegoroczna odsłona przedsięwzięcia jest szczególna, ponieważ przekroczyła mury instytucji i zawitała na Siedlce. Nieprzypadkowo właśnie TU. Poza pięknem samej dzielnicy, pełnej tajemnic, prowadzone w ramach projektu działania są preludium do programu, który w przyszłości Instytut Kultury Miejskiej zaproponuje mieszkańcom w nowej siedzibie – w Kunszcie Wodnym, na granicy Siedlec i Śródmieścia.

Tą publikacją dziękujemy wszystkim, którzy zaangażowali się w program „Otwarty IKM na Siedlcach”, zgłosili swoje inicjatywy, uczestniczyli w ich realizacji i kibicowali im. Dziękujemy, że podsuwaliście pomysły, które pozwoliły ożywić Wasze miejsce zamieszkania i sprawiły, że jest teraz piękniejsze, ciekawsze, jeszcze bardziej wyjątkowe. Dziękujemy, że podzieliliście się swoimi historiami, wspomnieniami i marzeniami.

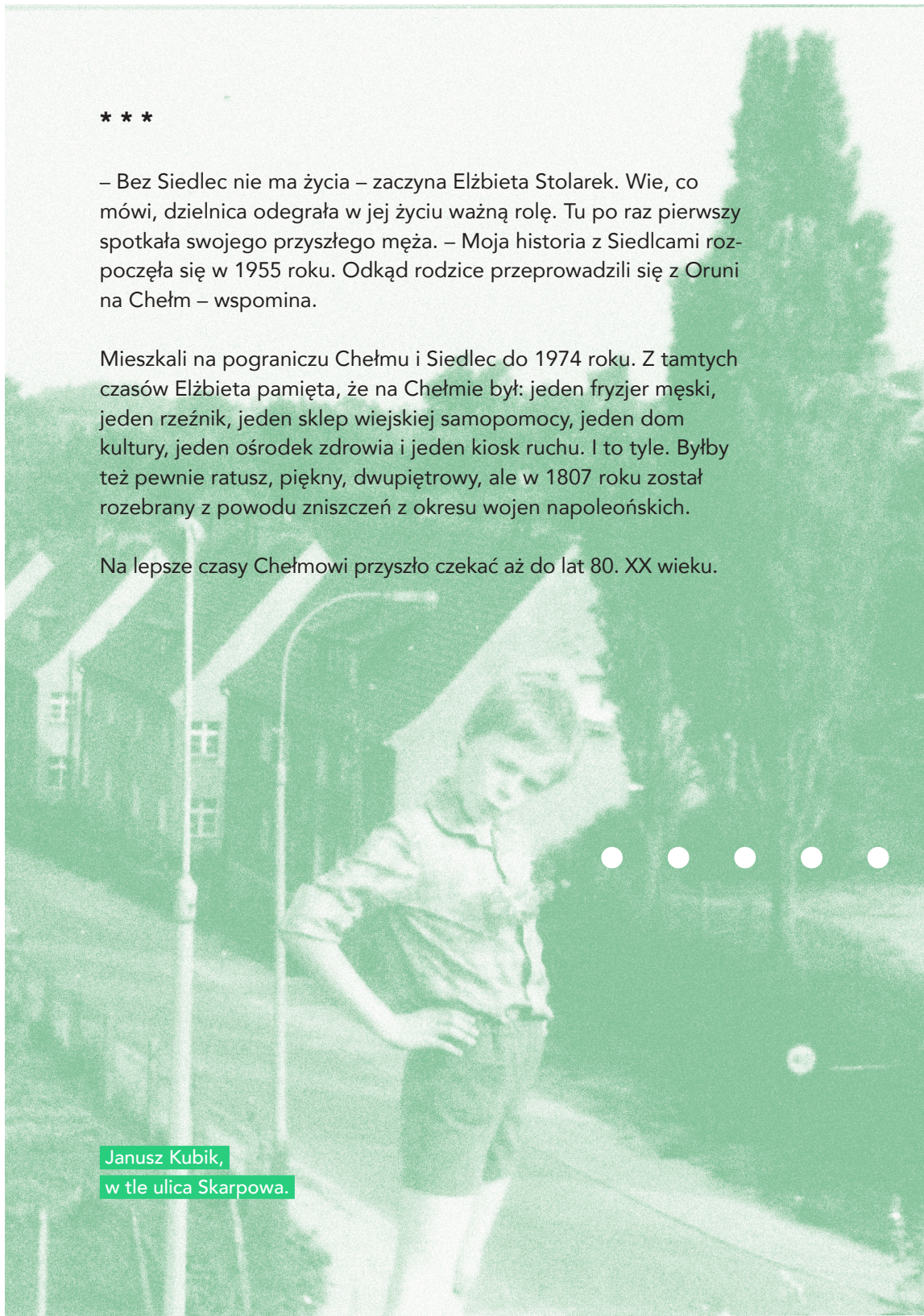
* * *

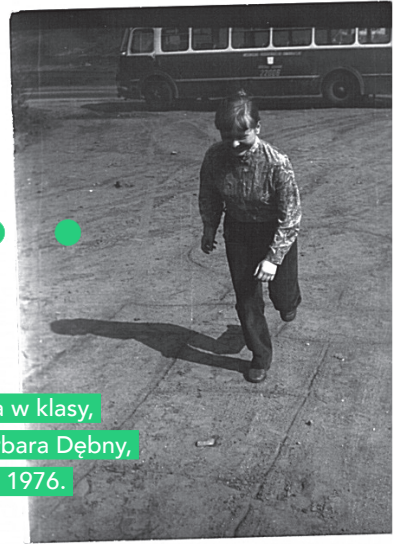
– Bez Siedlec nie ma życia – zaczyna Elżbieta Stolarek. Wie, co mówi, dzielnica odegrała w jej życiu ważną rolę. Tu po raz pierwszy spotkała swojego przyszłego męża. – Moja historia z Siedlcami rozpoczęła się w 1955 roku. Odkąd rodzice przeprowadzili się z Oruni na Chełm – wspomina.

Mieszkali na pograniczu Chełmu i Siedlec do 1974 roku. Z tamtych czasów Elżbieta pamięta, że na Chełmie był: jeden fryzjer męski, jeden rzeźnik, jeden sklep wiejskiej samopomocy, jeden dom kultury, jeden ośrodek zdrowia i jeden kiosk ruchu. I to tyle. Byłby też pewnie ratusz, piękny, dwupiętrowy, ale w 1807 roku został rozebrany z powodu zniszczeń z okresu wojen napoleońskich.

Na lepsze czasy Chełmowi przyszło czekać aż do lat 80. XX wieku.

Janusz Kubik,
w tle ulica Skarpowa.





Gra w klasy,
Barbara Dębny,
rok 1976.

Za to na Siedlcach...

– Zwłaszcza na Kartuskiej, ale nie tylko, w latach 50., 60. i jeszcze na początku lat 70. ubiegłego wieku wszystkiego było więcej. Był i sklep rybny przy Tarasach, gdzie wszyscy chodzili, i giełda samochodowa – pierwsza w Gdańsku, były sklepy spożywcze i obuwnicze, sklep AGD, a nawet z neonami; drogeria, apteka, przychodnia, kino i księgarnia, w której kupowałam książki i przybory szkolne – wymienia Elżbieta. – Wszystko było i wszystko było blisko. No i miało się tam przyjaciół. Trochę zawsze im zazdrościłam. Tam było wtedy takie... Forum Gdańsk – śmieje się.

Zazdrość mieszkańców Chełmu (i nie tylko) budził też tramwaj. Na Siedlcach kursowała wtedy dziesiątka. Jedna nitka, z mijankami – od Huciska do kościoła św. Franciszka z Asyżu na Emaus, gdzie kończyła ją pętla. To było coś, taki tramwaj. Ale Bogiem a prawdą na mijance czasem dłużej stał, niż jechał całą trasę, bo czekał na ten jadący z drugiej strony. To młodzi wolali iść pieszo. Nie było zresztą tak daleko – jakby się uprzeć, to całe Siedlce można zwiedzić na własnych nogach. A ile można czekać?

Wspomnienia domu rodzinnego: Tamara

W szkole średniej Elżbieta miała koleżankę, która mieszkała na Kolonii Zręby w poniemieckim drewnianym domu bez fundamentów, bo pierwszym właścicielom służył jako letniskowy. Przylegał do niego duży ogród, w którym rosły kwitnące krzewy, a na jednej ze ścian po kratce pięły się ciemnoczerwone róże. Cały dom był w kwiatach. Prosty a piękny.

Dom stoi do dziś vis-à-vis kościoła na Emaus. Świątynia powstała zaraz na początku XX wieku. To neogotycka ceglana budowla według projektu Augusta Menkena, architekta z Berlina. I jeden z nielicznych zabytków na Siedlcach – poza nim są jeszcze tylko dwa drewniane domy, też z tamtego okresu, stara murowana szkoła, zespół młynów i jeden dom z XVIII wieku. To wszystko. Tak więc całe szczęście, że kościół ocalał i trwa przy Kartuskiej do dziś.

Tamara Jakubowska z sąsiadami
na podwórku, ulica Kolonia Zręby.



Tamara Jakubowska przed domem
na ulicy Kolonia Zręby.





Zakończenie roku szkolnego 1959/1960.

Tamara Jakubowska czwarta od prawej
w drugim rzędzie.

Rok szkolny 1959/60
klasa IVc

Podobnie jak szkolna przyjaźń Elżbiety i Tamary, której początki sięgają 1963 roku.

– Zamierzchłe czasy – śmieje się Tamara Jakubowska. – Mieszkalam na Siedlcach od urodzenia, mój tata przyjechał tu w 1945 albo 1946 roku. Terenów z tamtych lat już praktycznie nie ma, w ogóle niewiele zostało, co by przypominało dawne Siedlce. Ale mój dom rodzinny nadal stoi. Tylko wejście nie jest już od Kartuskiej, jak w 1955 roku, lecz od Kolonii Zręby. Mieszka tam mój brat. Do dziś, ilekroć go odwiedzam, mówię: „jadę do domu”.

Do tego domu Tamary prowadziła wydeptana ścieżka. A tuż obok znajdowały się ruiny dawnego majątku, przypominającego chwilę świetności. W latach 50. Siedlce to była dzielnica, gdzie gruz leżał dosłownie wszędzie, ruiny dawnego kościoła ewangelickiego współtworzyły panoramę na równi z nowo wybudowaną szkołą. W tych ruinach bawiły się dzieciaki z okolicznych domów.

– Czasy były takie, a nie inne. Ciuchy zawsze były po kimś, z odzysku, albo nosiło się to, co udało się kupić. Ta marynarka, którą mam na sobie na zdjęciu, nie wiem, skąd jest – albo po moim bracie, osiem lat starszym – ja miałam wtedy sześć – albo po wujku. Tak się nosiło. Niczego innego nie było – mówi Tamara.

– Lalki mieliśmy szmaciane, z plastikową głową. Głowę się kupowało, reszta była szyta. Kto jak umiał, tak zszywał. Zamiast wózka dla lalek miałam taczkę. Ale dla nas, jako dzieci, i tak było bardzo dobrze. Z życia byliśmy zadowoleni.

Taki był ten dziecięcy świat na Siedlcach, jaki być powinien – bez troski, niezależnie od czasów. Niekiedy troskę się może miało, jak się zapomniało stołka do siedzenia, a przyjeżdżało kino objazdowe – ale to na pobliską Zabornię, która wtedy nie była jeszcze nawet w granicach administracyjnych miasta. Chodziło się i tam czasem. A w miejscu, gdzie dziś jest Suchanino, wtedy były jeszcze pola, po których młodszy się ganiał.



Ojciec Tamary Jakubowskiej
z wnuczką, ulica Kolonia Zręby.

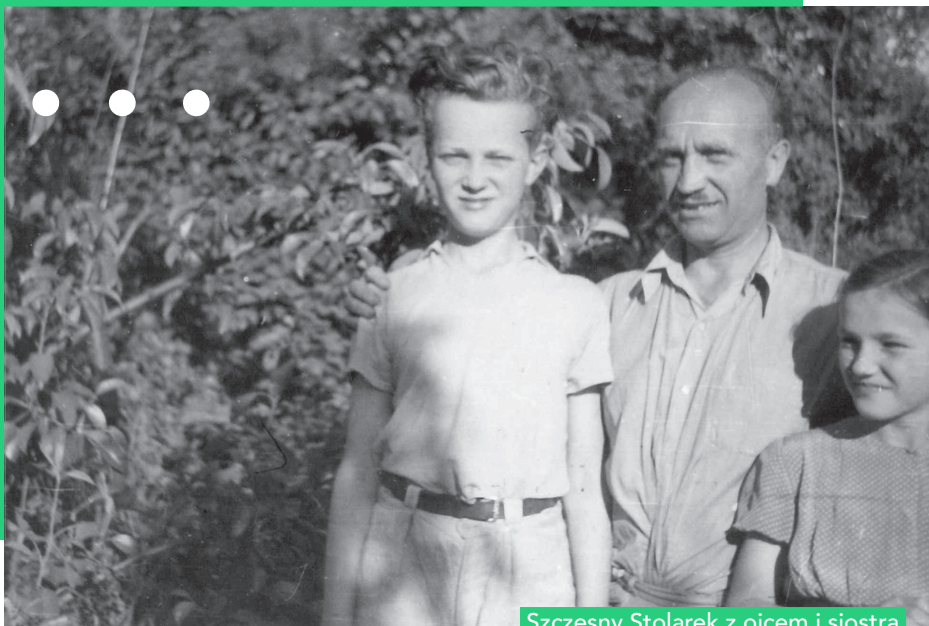
Tamara Jakubowska na podwórku,
ulica Kolonia Zręby.



– Wszędzie nas było pełno. Byliśmy szczęśliwi. Nie interesowało nas, czy będzie coś lepszego do zjedzenia, czy wybudują coś nowego – wspomina Tamara. – No, z jednym wyjątkiem. W 1956 roku przy Kartuskiej zaczęli stawiać pierwsze bloki stoczniowe. Wtedy większość mieszkańców pracowała w stoczni. Dla nas to była sensacja: potężne dźwigi, budynki wznoszone od podstaw. Oglądaliśmy to z rozdziawionymi ustami, tyle ciekawych rzeczy było do zobaczenia. Tata mówił, że ze szkoły – a mieściła się przy Kartuskiej, jakieś 800 metrów od naszego domu – wracałam trzy godziny.

Matka Tamary Jakubowskiej,
ulica Kolonia Zręby.





Szczęsny Stolarek z ojcem i siostrą
w ogrodzie, czerwiec 1957.

Szczęsny

Szczęsny Stolarek, dziś mąż Elżbiety, przyjaciółki Tamary, też wychował się na Siedlcach. Urodził się w Warszawie 6 czerwca 1944 roku. Dokładnie wtedy, kiedy rozpoczęło się lądowanie wojsk alianckich w Normandii, największa operacja morsko-desantowa w dziejach świata. Szczęsny śmieje się, że czekali z tym na niego, bo nie miał im kto wydawać rozkazów.

Nie pamięta, czyja to była decyzja, ale w 1945 roku był już z rodziną w Gdańsku. No, a jak przez to przebrnęli, to dalej było z górki. Zajmowało się to, co było wolne. Dla nich znalazł się dom na Siedlcach, przy Wyczółkowskiego 5a, tam zamieszkali. Przy domu był duży ogród z drzewami owocowymi, w którym dzieci mogły sobie pobiegać. Pięcioro ich w sumie było, dziewcząt i chłopców. Dużo czasu tam spędzali. Wtedy miało się dzieciństwo podwórkowe.

Spod tego domu jeździł autobus 115, aż do ulicy Schuberta na dzielnicy Suchaninie; po drodze mijał Beethovena. Wzdłuż tej trasy, na Wyczółkowskiego, ciągnął się rząd lamp gazowych. Te lampy

już od grudnia 1853 roku oświetlały niektóre ulice na Głównym Mieście. I to też była atrakcja, szczególnie dla dzieciaków.

– Rano na rowerze jeździł facet i gaz odłączał, a jak zapalał, miał taki knot na kiju, to się to zwyczajnie oglądało z ciekawością. No i koło lampy było trochę cieplej – mówi Szczęsny. – Mieszkałem tam do 1960 roku, potem znalazła się spadkobierczyni tego domu, siostra właścicielki. No to wykwaterowaliśmy się i przenieśliśmy do wieżowca przy Głębokiej.

Ale wtedy był już nastolatkiem i miał swoje sprawy na głowie. Zanim to nastąpiło, żył przy Wyczółkowskiego typowym życiem dzieci tamtych lat – powolnie, zwyczajnie. Śliwki, te z ogrodu, woził z mamą na targ na sprzedaż. Było ich za dużo, a pieniędzy za mało. Pożyczało się czasem od sąsiada – jakieś 20 złotych. Chleb wtedy kosztował 3 złote, sporo, ale był kilogramowy. Piekarni w okolicy nie było, więc Szczęsny chodził na Płowce. Tam był piekarz, którego niektórzy mieszkańcy Siedlec i pobliskich dzielnic jeszcze pamiętają: Kazimierz Trocha.

Szczęsny Stolarek z braćmi i siostrą,
kwiecień 1948.

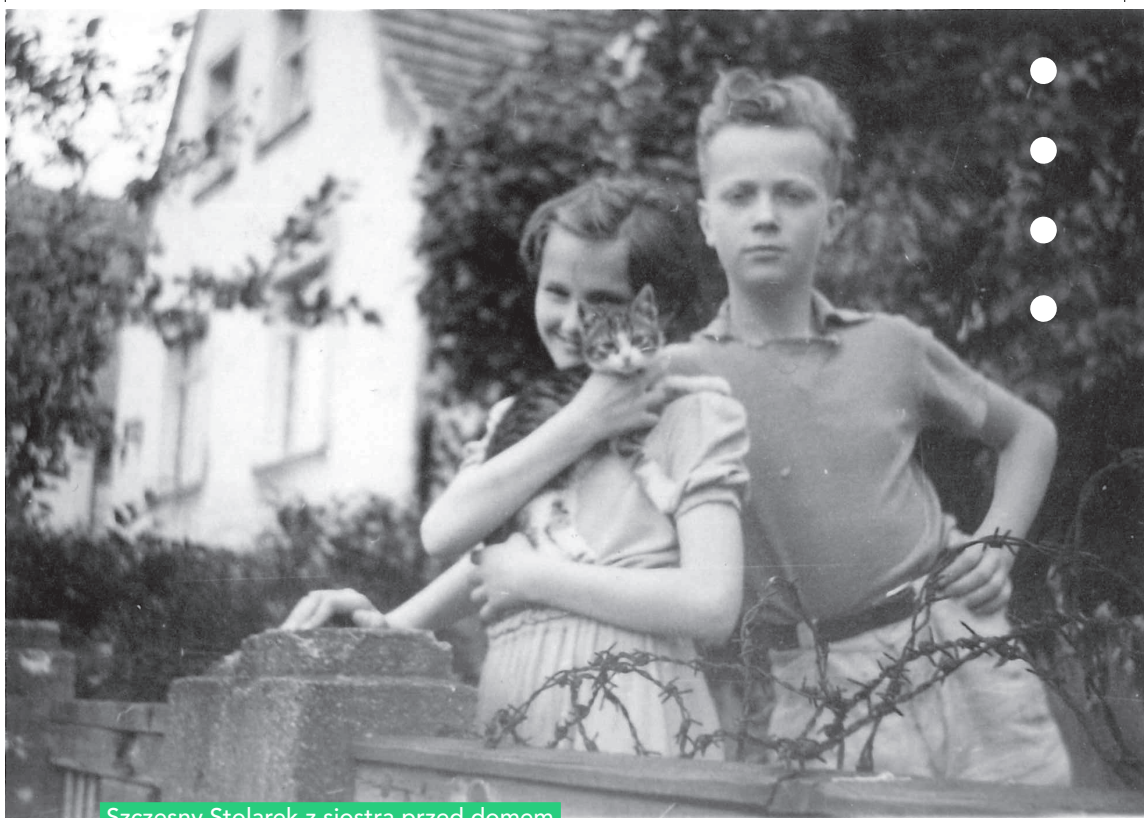


– Wchodziło się do niego po schodach, a na piętrze jego żona prowadziła sklep. Chleb od niego pachniał tak, jak dziś już chleby nie pachną. W kolejce stało się dwie, trzy godziny i dłużej, żeby ten chleb dostać. Tyle że sprzedawali po bochenku. Bo wtedy w ogóle wszystko sprzedawali na sztuki – przypomina Szczęsny. – Można było mieć po kilogramie cukru na głowę. Chodziło się więc gromadką dzieci i potem każdy z tym kilogramem cukru albo z bochenkiem przychodził do domu. Na początku Wyczółkowskiego – a może to już była Zakopiańska – był sklep, chyba spółdzielnia handlowa, nazywała się „Wiśła”. Tam dawali po 10 jajek na osobę. Ale człowiek się wtedy cieszył.

Do dziś, a minęło bez mała pół wieku, ludzie mówią, że Trocha miał bardzo dobry chleb. A po mleko chodziło się do mleczarni na rogu Bema i Powstańców Warszawskich, tam gdzie teraz jest chińska restauracja. No i w przydomowych ogródkach każdy miał coś na kształt niewielkiego gospodarstwa na własne potrzeby, w którym żyły zwierzęta hodowlane.



Szczęsny Stolarek z siostrą i bratem,
wrzesień 1947.



Szczęśny Stolarek z siostrą przed domem
na ulicy Wyczółkowskiego.

– Kozy mieliśmy – pamiętam zwłaszcza naszą najwierniejszą żywicielkę, Baśkę. Hodowaliśmy też króliki. Mama próbowała hodować i kury, ale coś nie wyszło – mówi Szczęśny. – Sąsiadka obok hodo-
wała świnię, kawałek dalej ktoś miał koguta, a inny krowy. Zwier-
zętą domowym był bezimienny kot. Taki to był zwierzynek.
Tak się wtedy żyło.

Tam, gdzie od Wyczółkowskiego odgałęzia się urokliwa Skarpowa,
która ciągnie się hen, w górę, aż do Suchanina, był ogrodnik,
który wśród okolicznych dzieciaków budził postrach, ale i podziw.
Szczęsnego mama wysyłała do niego po szczypiorek.

– On, ten ogrodnik, nazywał się chyba Leszczyński, miał coś z ręką-
mi. To znaczy jedną miał urwaną. W drugiej też mu czegoś brako-
wało. Mówili, że znalazł wieczne pióro, rozkręcił je i wybuchło. To
było tuż po wojnie. Ale nie wiem, ile w tym prawdy.

Nie wie też, ile jest prawdy w tym, że właściciel upomniał się o budynki na Chryzostoma Paska – białą kamienicę, w której mieścił się komisariat, i dlatego komisariat przeniesiono na Nowe Ogrody. Mało kto to dziś pamięta, bo obraz się zaciera, więc nawet nie ma kogo zapytać. Ale tak wtedy mówiono.



Szczęśny Stolarek z matką i siostrą, maj 1948.



Szczęśny Stolarek, lipiec 1950.

Władysław

– Spędziłem na Siedlcach znaczną część życia. Przenieśliśmy się tam z rodzicami z Wrzeszcza w 1959 roku, z dużego mieszkania, w którym żyło kilka rodzin, jak to w tamtych czasach. Miałem wtedy pięć lat – wspomina Władysław Zawistowski. – Byliśmy jednymi z pierwszych, którzy zdecydowali się na spółdzielnię mieszkaniową.

Dostali trzy pokoje na Zakopiańskiej, w jednym z trzypiętrowych bloków – mieszkał tam do 1981 roku. Obok stał tzw. „wieżowiec” – pierwszy budynek na Siedlcach, który miał chyba z siedem pięter. Potem z żoną i synem przeprowadzili się na pobliski Chełm, więc oglądał Siedlce jakby z dwóch stron.

Dlatego też potrafi mówić o dzielnicy z dystansem, z pozycji badacza, który na chłodno analizuje dobrze znany sobie teren: – Siedlce to dziwna dzielnica, która na dobrą sprawę składała się, i składa, z trzech ulic. W środku jest Kartuska – w dawnej Dolinie Potoku Siedleckiego; od południa towarzyszy jej Malczewskiego, a od północy pnie się Zakopiańska. Od nich odchodzą mniejsze uliczki. I to by było na tyle. Oczywiście jest to kwestia tego, jak zdefiniujemy Siedlce. Jako dzieciaki definiowaliśmy je dość szeroko – na przykład tzw. forty aż po Górę Gradową to były dla nas Siedlce.

Z drugiej strony jednak, to właśnie Siedlce uczynił miejscem akcji swojego opowiadania, zatytułowanego *Miejsce parku*:

„Dzielnica była prawie tak stara jak miasto; przed wiekami rozłożyła się w szerokiej dolinie wyżłobionej przez bystry potok, a jeszcze trzysta lat temu na jej zboczach sadzono winorośl i budowano letnie wille. Ale to było dawno; z czasem potok wysychł i zmienił się w stróżkę, którą ujęto w rynsztok, winnice wymarły, i dolina przestała być modna. Wokół miasta pełno było takich dolin, więc wille zaczęto budować gdzie indziej, we Wrzeszczu, Oliwie, na Oruni, a po starych wilegiaturach nie pozostał nawet najmniejszy ślad”. (Władysław Zawistowski, maj 2001 r.)

Siedlce



- 1 – poniemieckie domki letniskowe
- 2 – kościół św. Franciszka z Asyżu
- 3 – nieistniejący kościół Zbawiciela (Heilandskirche)
- 4 – Szkoła Podstawowa nr 14
- 5 – nieistniejąca restauracja „Kaszubska”
- 6 – dawny stawik, obecnie plac zabaw
- 7 – nieistniejący Klub „Rondo”, obecnie sklep popularnej sieci spożywczej
- 8 – nieistniejące Café Derra, później GKS „Wybrzeże”, obecnie sklep
- 9 – nieistniejące kino „Wrzos”



Siedlce, które pamięta z wczesnego dzieciństwa, to także dzielnica, gdzie jest jeszcze bardzo dużo zieleni. Nie tylko starych, rozłożystych kasztanowców, które kwitły tuż przed maturą, ale też wielkich założeń ogrodniczych.

– Zespół domów, gdzie się osiedliłem z rodzicami, powstał przez zabranie – nie bójmy się tego słowa – prywatnemu ogrodnikowi mniej więcej 3/4 jego gospodarstwa. Skutkiem tego było, że na podwórkach rosły drzewa owocowe. Wychowałem się wśród gruszek i śliw, które wydawały owoce – wspomina.

Z tamtych terenów niewiele już zostało. Dzisiaj zielone serce Siedlec stanowi park, powszechnie nazywany Bema, od ulicy, przy której się znajduje. Łatwo tu uciec z ruchliwej i gwarnej Kartuskiej, która nawet w czasach komunistycznych była wierna idei kapitalizmu, a i teraz tworzy ją długi ciąg sklepowych witryn, oferujących głównie produkty spożywcze, i lokali usługowych. Park przy niej to jakby zupełnie inny wymiar, Zielona Planeta na rubieżach Układu Słonecznego.



Dom przy ulicy Wyczółkowskiego 109,
zdjęcie z roku 1935 (1936?).



Pamiętka ukończenia Szkoły Podstawowej nr 14 w Gdańsku, 21.06.1958.

Szczęsny Stolarek czwarty od prawej w górnym rzędzie. OWET, NB.74



Nauka i czasy szkolne

W 1955 roku przy brukowanej wtedy jeszcze ulicy Kartuskiej, pod numerem 126A, powstała Szkoła Podstawowa nr 14. Dzisiaj nosi imię ks. Grzegorza Piramowicza, ale od 1963 roku aż do 1991 była to szkoła imienia gen. Karola Świerczewskiego. Do nowej placówki przenieśli uczniów z „trzydziestki”, która znajdowała się tuż obok, tam gdzie obecnie działa VIII Liceum Ogólnokształcące.

– „Trzydziestka” mieściła się w budynku poklasztornym albo po-kościelnym, nie pamiętam... Jeszcze jak byłem w pierwszej klasie, ubikacja była na podwórzu. Dopiero potem z korytarza wydzielili wnękę – wspomina Szczęsny. – W szkole były piece, ale zimy przy-chodziły wtedy takie, że nawet przez dwa tygodnie nie było zajęć szkolnych z powodu mrozu. Dwadzieścia sześć stopni to była nor-ma w tamtych czasach, teraz zim w ogóle nie ma. Szkoły zamykano w całym Gdańsku, i chyba nawet w województwie. Dla nas to była radocha, bo więcej można było na sankach pojeździć – śmieje się.

Elżbieta też chodziła do „trzydziestki”, przez chwilę.

– Była taka paskudna zima i nie było węgla. A może zima nie była aż tak paskudna? – zastanawia się. – Ale węgla na pewno nie było. Nasza szkoła na Chełmie go nie miała. Tak więc młodsze dzieci w ogóle w tym czasie nie chodziły na lekcje, a starsze, w tym mnie, przeniesiono na Siedlce, do „trzydziestki”. Kilka tygodni to trwało. Śliczna to była szkoła...

Ale SP 14 była jeszcze lepsza. W piwnicy mieściła się stołówka, a poza tym w budynku znajdowała się sala gimnastyczna i aula. Jak na tamte czasy, to była bardzo dobra szkoła. Nie była to już placówka kuratorska, tylko TPD-owska – Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Stąd ten numer – najwyższy TPD-owski był do tej pory 13, więc zrobili „czternastkę”. 1 września naukę w SP 14 rozpoczęło 644 uczniów. Szczęsny akurat zaczynał piątą klasę.

Pamięta szczególnie to, że przy szkole działał chór pieśni i tańca, typowy dla tamtych czasów. Prowadził go szkolny polonista, w repertuarze przeważały pieśni ludowe i o kolchozie.

Zakończenie Szkoły Podstawowej nr 14, klasa 8a, rok 1975.

Barbara Dębny czwarta od lewej w trzecim rzędzie.





Szczęsny Stolarek z rodziną,
sierpień 1947.

– Miał do tego taki dryg, że mój ojciec mówił, że jak ten polonista zajął trzecie miejsce w województwie, to była dla niego tragedia, że tak nisko spadł. Na wszystkich konkursach zajmował zawsze pierwsze i drugie miejsce i był do tych zwycięstw już przyzwyczajony – mówi Szczęsny. – Pamiętam zbiorową recytację wiersza Bro-niewskiego *Komuna paryska*. Zostawało się specjalnie po lekcjach, po południu, i ćwiczyło.

Szkoła to był dobry czas. Na przerwach dziewczyny w grupkach rozmawiały. Bóg wie o czym, ale tematów nigdy nie brakowało. A chłopacy szarpali się ze sobą, czy raczej – tarmosili, bo całość miała pokojowy charakter. „Wycierali ubraniami podłogi” – opowiada Szczęsny, który też „wycierał”.

Do „czternastki” przyjeżdżały dzieci z Jasienia. Przywoził je specjalny autobus. Dzieciakom z Siedlec wydawało się, że z drugiego końca świata.



Szczęsny Stolarek z braćmi
i siostrą, zima 1947/1948.

Fajerki, „bobsleje” i stare filmy, czyli czas wolny na Siedlcach – dawniej...

– Zimą jeździło się na sankach. Była piękna góra, ciągnąca się od Kartuskiej na Pohulankę [dzisiaj ulica Na Zboczu – przyp. red.], tam, gdzie teraz wznoszą się te długie schody, łączące Siedlce z Chełmem. Tam się zjeżdżało – wspomina Szczęsny. – Inne góry też były, ale tam było najlepiej, bo najwyżej. Jeździliśmy też ulicą Powstańców Warszawskich, jak jeszcze nie było ruchu samochodowego.

Elżbieta co prawda sama nie brała zbyt często udziału w tego typu zabawach, ale pamięta, że to było wtedy ulubione zajęcie jej kolegów. Po ubitych i wyslizganych białych powierzchniach śmigały sanki i tzw. bobsleje.

– Brało się dwie stare łyżwy i kawałek dechy i przybijało gwoździem. I na tym z tych gór – przeważnie chłopcy – jeździli. Niezłego rozpędu się dostawało.

Janusz Kubik, który mieszka na Siedlcach od urodzenia, czyli od 1948 roku, pamięta też słynny „stawik”. – Tam gdzie na Skarpowej jest dzisiaj plac zabaw, był olbrzymi dół retencyjny, gdzie spływała woda m.in. z ulicy Brukowej i Zakosy. Zimą urządzaliśmy tam sobie lodowisko i graliśmy w hokeja – wspomina. – Łyżwy były na blaszki, krążek wycinaliśmy z drewna, ewentualnie braliśmy kamień albo kawałek węgla. Za kij służyła sztacheta z płotu okalającego działki za piekarnią, którą przez wiele lat prowadził repatriant z Wilna, pan Minko. Wtedy była prywatna, a potem ją upaństwowiono. W tej chwili jest w ruinie.

Latem, gdy było ciepło, dół wypełniał się wodą i niektórzy się kąpali. Ale woda była bardzo zabrudzona. – Robili zakłady – kto wejdzie, kto lepiej popłynie – śmieje się Janusz.

Jedną z obowiązkowych letnich rozrywek była plaża. Jeździło się na Stogi, tramwajem. Linia prowadziła wtedy przez ulicę Długą. Dziewczyny chodziły też opalać się na górki przy Zakopiańskiej.



Janusz Kubik z sąsiadami i siostrą
na ulicy Skarpowej, 1956.

Poza tym czas wolny, zwłaszcza za dzieciaka, trwoniło się na proste podwórkowe zabawy. W chowanego. W palanta. W wojnę – z Niemcami albo „Ruskimi”. Od świtu do nocy na dworze. Jak deszcz lał, to brodziło się w kałużach i w błocie. Jak była pogoda, biegało się z fajerką.

– Drut się wyginało tak, że wyglądał trochę jak pogrzebacz. Tylko jeszcze raz wygięty w drugą stronę – opisuje Szczęsny. – I tym drutem fajerkę się łapało i popychało przed siebie. To dawało wspa- niałe efekty dźwiękowe, zwłaszcza jak się jechało po kocich łbach.

Trzeba było tylko pilnować, żeby nie wypadła, jak dostawała rozpę- du. Gdy nie było fajerki, brało się stare koło od roweru. Najlepsze było takie zardzewiałe, bez szprych – sama obręcz. Nic wyszuka- nego. Jak ktoś miał koło, to już był gość. Raz bracia Szczęsnego znaleźli łożyska i sztachetę, z tego zrobili sobie hulajnogę.

Słowem, coś trzeba było robić. Choćby oglądać witryny sklepowe i wystawy w kioskach – to też jakaś atrakcja. Człowiek, zwłaszcza młody, zawsze coś znajdzie do roboty, szczególnie że nie było telewizji, a i mało kto miał radio. Po co komu radio, skoro Wolnej Eu- ropy i tak nie można było słuchać?

Kiosków Ruchu za to było wtedy mnóstwo.

– Polowało się na gazety, których nigdy nie było. Czasem trzeba było obejść dziesięć kiosków w najbliż- szej okolicy, żeby ustrzelić jakiś tytuł. W kioskach było wszystko. Ale nigdy nie udało mi się kupić „Małego Mode- larza” – wspomina Beata Kwaśniewska, mieszkanka Skarpowej. – Udawało się czasem dostać „Non Stop”, czarno-bia- łą pismo o muzyce, ale to już później, w latach 70.



Janusz Kubik z bratem i sąsiadami,

ulica Skarpowa, 1951.

Na drugim planie pierwszy z lewej

Albert Gochniewski, zmarły niedawno

wybitny dziennikarz sportowy.



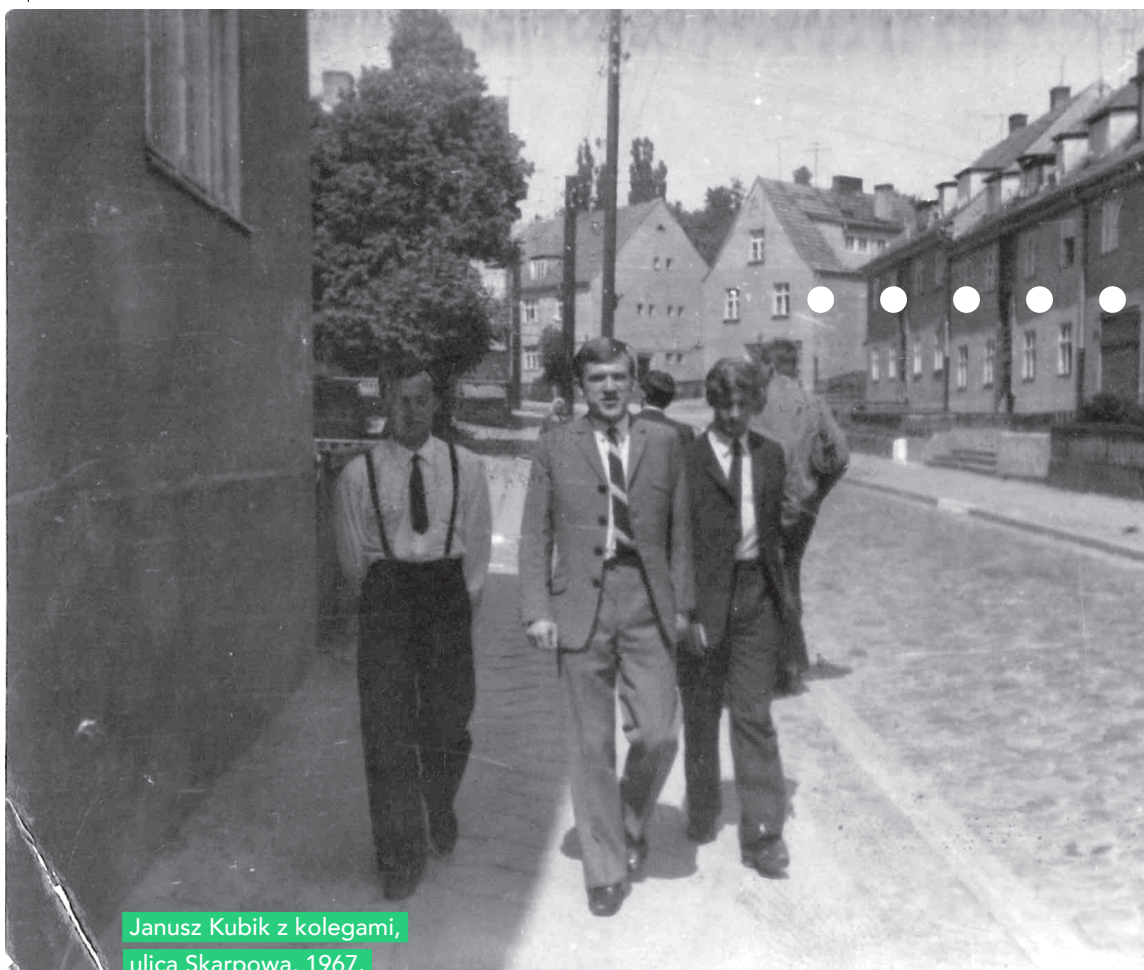
Janusz Kubik na schodach prowadzących
ze Skarpowej na Ojcowską, 1952.

Starsze dzieci, młodzież i dorosłych można było spotkać przy ulicy Kartuskiej 22/24, gdzie w salce, będącej pozostałością istniejącej do 1945 roku, okrytej od pewnego momentu złą sławą restauracji Café Derra, mieścił się Gdański Klub Sportowy „Wybrzeże”. Część lokalu zajmowała hala sportowa, w której urzędowała sekcja bokserska – organizowano tam treningi i walki, aż do 1990 roku.

– Trenowali tu bokserzy, koszykarze, piłkarze i judocy. W tej chwili zachował się tylko front, znajduje się tam sklep z farbami. Sportowcy przenieśli się do hali na Łąkowej – wspomina Janusz.

Być może nie wszyscy pamiętają, ale w takich miejscach często działały również kina. Tutaj – to słynne, o którym wie każdy, kto choć przez chwilę mieszkał w dawnych latach na Siedlcach lub w sąsiedztwie: kultowe kino „Wrzos”. Mieściło się w drewnianym baraku pod adresem Kartuska 20, tuż przy skrzyżowaniu z ulicą Jasną. Wyświetlali tam takie filmy, jak *Jeśli dziś wtorek, to jesteśmy w Belgii* czy *Dziki mustang*. Niestety, podzieliło los pamiętnego „Drukarza” na Starym Mieście, przy Garncarskiej, podobnie jak kilkudziesięciu innych historycznych kin. „Wrzos” zlikwidowano w latach 70. Budynek zburzono i tym samym zakończył się romans Siedlec z kinematografią. Nigdy już żadne kino tu nie powstało.

kino „Wrzos”



Janusz Kubik z kolegami,
ulica Skarpowa, 1967.

Nieliczni pamiętają też, że przez pewien czas funkcjonował jeszcze osiedlowy klub stoczniowy – gdzieś w okolicy Zakopiańskiej i Zagrodowej. Odbływały się tam występy, śpiewali m.in. marynarze. No i był okres, kiedy organizowano tam kino za 2 złote. Tytuły wyświetlano przeróżne, ale same przeżytki. Mimo wszystko to jednak było coś, głównie ze względu na cenę – w „Leningradzie” seanse były wtedy za 10 złotych.

„Za

Na mapie Siedlec ważne miejsce zajmowały też słynne knajpy i lokale. U zbiegu Wyczółkowskiego i Zakopiańskiej, gdzie dziś znajduje się sklep popularnej sieci spożywczej, funkcjonowało kultowe „Rondo”, szemrana knajpa z dyskoteką, w której w latach 70. namiętnie bywali cinkciarze. A na Kartuskiej, w ciągu bloków stocznionych, działała „Kaszubska”, gdzie pod jedną nazwą istniały dwa lokale, oddzielone klatką schodową prowadzącą do mieszkań na piętrach. W jednym była restauracja i kawiarnia z eleganckim i przytulnym wystrojem, w którym dużą rolę odgrywały kaszubskie wzory, w drugim – typowa „mordownia”, gdzie lało się piwo i mocne alkohole, a dym przesłaniał wszystko. Czasem wynikały z tego nieporozumienia – jak ktoś umawiał się z kimś w „Kaszubskiej”, a nie dopytał, w której.

Przy Skarpowej z kolei mieściła się knajpa „Pod bzami”. Te bzy do dziś porastają całe góry przy Zakopiańskiej. Pachną na wiosnę tak, że aż człowiekowi bardziej chce się żyć. W majowe wieczory może się zdawać, że Siedlce to jeden wielki ogród.

...i czas wolny dziś

Chociaż żyje się tu dobrze, dzisiaj na Siedlcach nie bardzo jest co robić. Niektórzy się śmieją, że jest spokojnie jak na wsi. Życie toczy się tu zwyczajnie. Funkcję domu kultury i centrum spotkań towarzyskich pełni otwarty w 2016 roku Dom Sąsiedzki „Zakopiańska”, nazwany tak od ulicy, przy której się znajduje – Zakopiańskiej 40. Odbywają się tu warsztaty artystyczne i zajęcia ruchowe, organizowane są kursy tańca i potańcówki, spotkania autorskie i wieczory kulturalne, działa kółko brydżowe, są też gry planszowe. Ale brakuje ośrodka kultury z prawdziwego zdarzenia.

DOM SĄSIEDZKI

„Zakopiańska”



Kiedys była na Siedlcach biblioteka. Nie była jaka – filia Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Istniała tu już od 1950 roku, początkowo w ceglanym szeregowcu przy ulicy Kartuskiej 69, później przy Zakopiańskiej – wejście znajdowało się od ulicy Zagrodowej. Ale filia została zlikwidowana i Siedlce straciły bibliotekę.

Teraz to „Zakopianka” pełni funkcję biblioteki. To biblioteka społeczna – mieszkańcy sami przynieśli książki, opiekują się tym miejscem. Ideą jest swoboda: każdy może książkę przynieść, wypożyczyć albo zabrać na stałe. Chętni mogą skorzystać z całkiem dużego księgozbioru, który skrywa ciekawostki, m.in. kompletne serie wydawnicze z lat 70. i 80. Kolekcja, która zaczęła powstawać kilka lat temu od zera, dziś znacznie już przekracza możliwości regałów. Ale mieszkańcom i tak brakuje biblioteki z prawdziwego zdarzenia. Najbliższa jest na Targu Rakowym – niedaleko, ale to już nie Siedlce. Dlatego siedleckiej filii żal.



Barbara Dębny po lewej stronie.



Przyjaciele z dzieciństwa,
widok z ulicy Zakopiańskiej, 1974.

Poza tym zdarzają się w dzielnicy okazjonalne atrakcje, o których mieszkańcy długo pamiętają. Jak np. uliczny festiwal Streetwaves, który zawitał na Siedlce w 2013 roku i ożywił to miejsce tak, jak nie udało się nikomu ani lata wcześniej, ani lata później. Przyszli nie tylko ci, którym było najbliżej, ale też mieszkańcy innych dzielnic, a nawet sąsiedniego Sopotu i Gdyni, był ktoś z Tczewa, a inny przyjechał z Pruszcza Gdańskiego. Niektórzy wspominają, że park przy ulicy Bema nigdy takich tłumów nie widział.

Pięknie, piękniej, coraz piękniej...

Był taki okres, jeszcze w latach 60. i długo, długo później, kiedy mieszkańców Sopotu, Gdyni i innych gdańskich dzielnic ostrzegano, żeby się nie zapuszczali po zmroku w trzy miejsca: do Nowego Portu, na Orunię i na Stogi. Tam było najniebezpieczniej w całym mieście, a zaraz w następnej kolejności, tuż za podium, znalazły się Siedlce.

Niektórzy mówili, że w każdym z tych rejonów można zostać ugodzonym nożem, inni – tym bliżej było do stoików – straszili, że tylko biją i (lub) kradną. Cokolwiek by tam robili, dla osób z zewnątrz, o których tubylcy nie mogli powiedzieć „nasi”, były to dzielnice zakazane. Bo klasyczny chuligan czy złodziej „swojego” nie rusza. Ot, specyfika dzielnic przedwojennych.

Ale Siedlce się zmieniały wraz z tym, jak zmieniało się miasto. Zniknęły robotnicze domy, drewniane baraki. Coraz trudniej znaleźć zaniedbane budynki z tamtych lat, a te, które przetrwały, przeszły metamorfozę. To dziś miejsce, w którym stare harmonijnie współistnieje z nowym.

– Jest bezpiecznie, ulice są oświetlone. Cała dzielnica jest lepiej zorganizowana i bardziej zadbana. Kiedy się tutaj wprowadziłam, 25 lat temu, elewacja budynku, w którym mieszkam, miała ślady kul z czasów II wojny światowej. W wietrzne dni trzeba było uważać, żeby nie oberwać tynkiem – wspomina Edyta Petelska.

Razem z Beatą przez wiele lat tworzyła gazetkę „Znamy się tylko z widzenia”, w której opisywała m.in. to, jak poprawia się komfort życia w dzielnicy. Sporo tego dobrego ostatnio się tu wydarzyło: odnowione elewacje, wypielęgnowane balkony i ogródki, uporządkowane podwórka. Powstały place zabaw i wybiegi dla psów. Zadbano o Park Bema, który zaczął tętnić życiem – to tutaj odbywa się większość wydarzeń plenerowych: Parkowisko, festyny, imprezy biegowe, imprezy dla mieszkańców.

– Żyje się coraz sympatyczniej, jest coraz piękniej. Dużo jeszcze zostało do zrobienia, ale i dużo projektów obywatelskich udało się w ostatnich latach zrealizować. Mam poczucie, że to trochę „naprawianie świata”. I chyba nie tylko ja, bo zawsze znajdują się osoby, które mają ochotę coś poprawić. Siedlce są tego przykładem – mówi Edyta.

To zasługa sąsiedzkich więzi. Większość dzisiejszych mieszkańców to ludzie, którzy swoją młodość mieli w latach 50. lub 60. Przebój Czerwonych Gitar *Znamy się tylko z widzenia*, który nieprzypadkowo stał się tytułem lokalnej gazety na Siedlcach, świetnie charakteryzuje tych, którzy tutaj żyją.

– Wszyscy tak jakoś się znają, chociaż z widzenia. Może nie pamiętają swoich imion, nie znają nazwisk, ale chodzili razem do szkoły – dodaje Beata. – Ci ludzie, którzy urodzili się tuż po wojnie, teraz naprawdę się integrują. Wiele spotkań sąsiedzkich w dzielnicy odbywa się z ich udziałem. Część z nich przyjeżdża z zagranicy albo z innych polskich miast, żeby się spotkać raz do roku tu, na podwórku. To jest niesamowite. Siedlce nie są spektakularną dzielnicą, ale są pięknie swojskie.

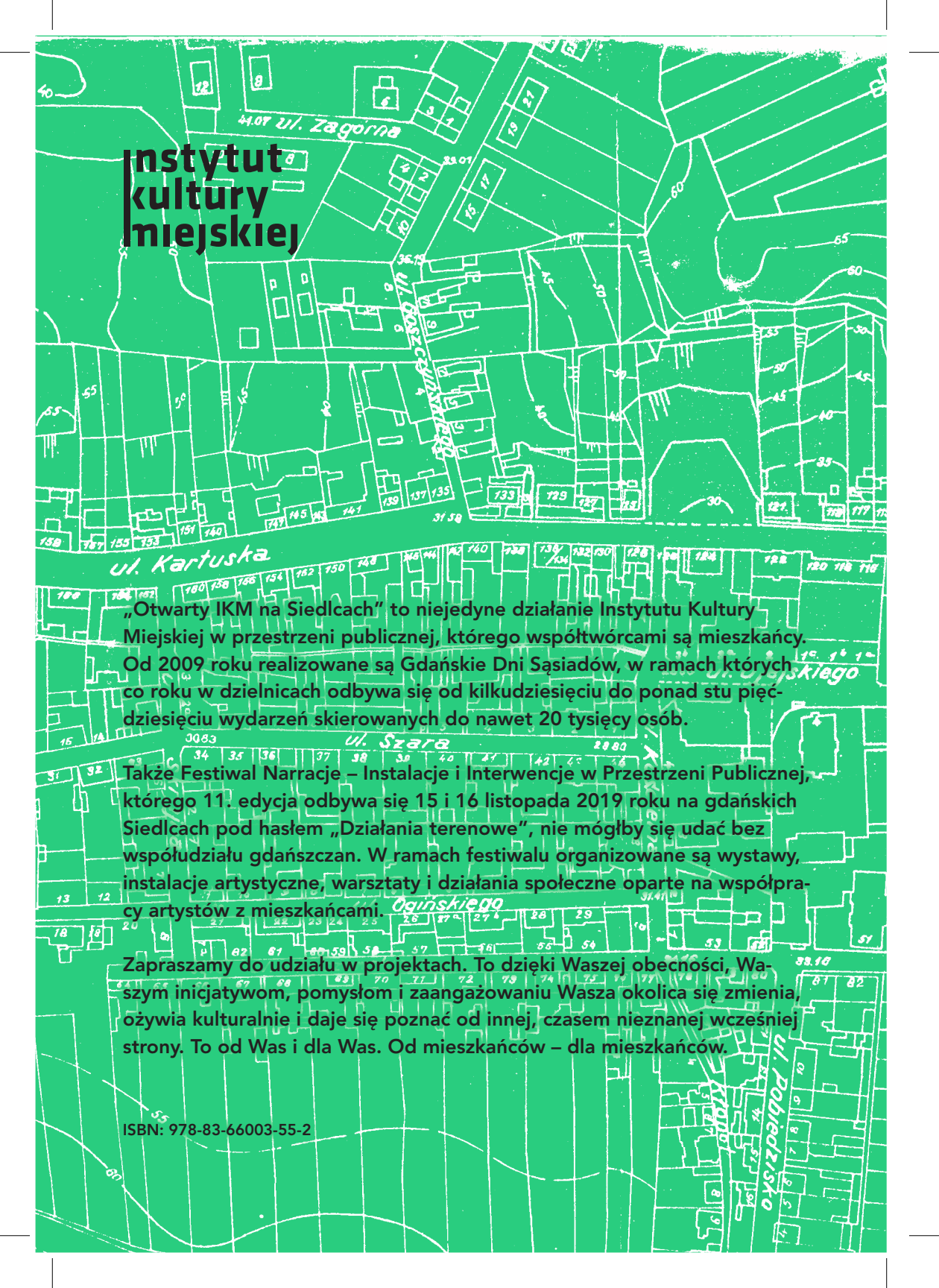
Może dlatego powoli osiedla się tu coraz więcej młodych, szukających swojego zakątka. Zazdroszczą tutejszym mieszkańcom bliskich relacji, poczucia wspólnoty.



– Co tu może przyciągać? – zastanawia się Elżbieta. – Dużo jest domów, które mają stare podwórka, gdzie jest dusza tej dzielnicy. Bo Siedlce mają duszę. Teraz się mówi, że Gdańsk należy do miast, w których dobrze się żyje, że ludzie przeprowadzają się tu jako do jedyne miasta w Polsce. Tak samo było z Siedlcami. Mówię: było, bo teraz to się pewnie zagubi. Przez takie duże obiekty, jak Forum Gdańsk, gdzie wszystko jest pod bokiem. Jak kiedyś na Siedlcach – zauważa. – Dobrze się tam, na Siedlcach, żyło. Ciche, spokojne miejsce, w którym niczego do szczęścia nie brakowało. No i to położenie. Przecież to swoista brama Gdańska.



Dziadek i mama Michała Schulza,
plac na końcu ulicy Wyczółkowskiego,
lata 50.

A detailed street map of the Siedlce neighborhood in Gdańsk, Poland. The map shows a grid of streets including ul. Zagórna, ul. Górszczyńska, ul. Kartuska, ul. Szara, ul. Ogórnika, and ul. Pobiedzisko. Numerous house numbers are visible along the streets. The map is rendered in a light, sketchy style with white lines on a dark background.

Instytut kultury miejskiej

„Otwarty IKM na Siedlcach” to niejedyne działanie Instytutu Kultury Miejskiej w przestrzeni publicznej, którego współtwórcami są mieszkańcy. Od 2009 roku realizowane są Gdańskie Dni Sąsiadów, w ramach których co roku w dzielnicach odbywa się od kilkudziesięciu do ponad stu pięćdziesięciu wydarzeń skierowanych do nawet 20 tysięcy osób.

Także Festiwal Narracje – Instalacje i Interwencje w Przestrzeni Publicznej, którego 11. edycja odbywa się 15 i 16 listopada 2019 roku na gdańskich Siedlcach pod hasłem „Działania terenowe”, nie mogłyby się udać bez współudziału gdańszczan. W ramach festiwalu organizowane są wystawy, instalacje artystyczne, warsztaty i działania społeczne oparte na współpracy artystów z mieszkańcami.

Zapraszamy do udziału w projektach. To dzięki Waszej obecności, Waszym inicjatywom, pomysłom i zaangażowaniu Wasza okolica się zmienia, ożywia kulturalnie i daje się poznać od innej, czasem nieznannej wcześniej strony. To od Was i dla Was. Od mieszkańców – dla mieszkańców.